

SKAZANI NA ŚWIATŁO

Młody człowiek w znakomicie skrojonym Ciemnogrnatowym garniturze wpadał w oko wielu klientom restauracji "Terpsychora", należącej do znanego niegdyś piosenkarza Aleksieja Marinieca. Lokal został otwarty niedawno, jednakże szybko stał się jednym z miejsc chętniej odwiedzanych przez moskiewską bohemę.

Młodzieniec przyszedł sam, tuż przed dwudziestą, kiedy stali bywalcy dopiero zaczynali splotać do lokalu na początek ciewiecznego programu rozrywkowego: występowali tu często popularni piosenkarze, aktorzy i grupy taneczne, a czasem śpiewał również sam gospodarz i właściciel, mężczyzna wciąż atrakcyjny i nadal dysponujący świetnym głosem. Zazwyczaj śpiewał ulegając prośbom obecnych, w weekendy, kiedy relaksował się w swojej restauracji w kręgu najbliższych przyjaciół. Tego wieczora również zamierzał się tu odprężyć i wykonać kilka piosenek w stylu retro, szczególnie ciepło przyjmowanych przez kobiecą część rozbawionego towarzystwa.

Klient w granatowym garniturze zajął stolik w kryształowej grocie, nicopodal muszli koncertowej, w pobliżu miejsca zarezerwowanego dla właściciela lokalu, zamówił tylko wodę mineralną i wyraźnie na coś czekał, przyglądając się stopniowo wypełniającej salę klienteli. Mężczyzna sprawiał sympatyczne wrażenie, był wysoki, dużo palił i wyraźnie denerwował się, co i rusz zerkając na zegarek. Przed dziesiątą jego zdenerwowanie sięgnęło szczytu, i mimo że oczy pozostawały ciemne i na polu senne, żeby nie powiedzieć - martwe, to jego stan zdradzały ręce, ani przez sekundę nie leżące nieruchomo. Młody człowiek bębnił palcami w blat stołu, przekładał z kieszeni do kieszeni zapalniczkę, grzebyk, portfel, chusteczkę, wyglądał obrus na stole, poprawiał krawat, strząsał z garnituru nieistniejące pyłki, pił wodę, aż w końcu sięgnął na siebie uwagę jednego z kelnerów.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał, zbliżając się, maitre d'hotel. - Czy pan na kogoś czeka?

Gość zerknął na zegarek, dopił wodę i powiedział nerwowo:

- Jeszcze jedną butelkę wody, proszę. I - czy Aleksander Arturowicz zacznie już wkrótce swój występ? Szef sali pokręcił przecząco głową.

- Dziś, niestety, nie wystąpi, źle się czuje. Czy pan na niego czeka?

- Nnnie - odparł głuchym głosem młodzieniec, jego oczy zrobiły się szklane. - Gdzie mógłbym... go znaleźć? Muszę z nim... porozmawiać...

- Czy pan źle się czuje? - zatroskał się maitre d'hotel. - Zbladł pan. Duszno panu? Może wezwać lekarza?

- Ja muszę... spotkać się z Aleksiejem Arturowiczem Mariniczem... natychmiast...

- Przykro mi, nie mogę w niczym pomóc. - Maitre d'hotel skinął dłonią, wzywając ochroniarzy w poważnych czarnych garniturach: - Proszę pomóc temu panu dojechać do samochodu.

- Pan mnie okłamuje. Aleksiej Arturowicz musi dziś... tu być... uprzedzono mnie...

- Poczul się gorzej - wyjaśnił ochroniarzom szef sali. - Kto panu powiedział, że musi wystąpić?

- Zawsze... o dziesiątej...

Maitre d'hotel skinął głową, odsuwając się od stolika.

Dwaj mocno zbudowani mężczyźni w czarnych garniturach i muszkach chwycili młodzieńca pod ręce i wyprowadzili z sali, ale nie na ulicę, lecz przez służbowy korytarz na piętro budynku, gdzie Marinicz miał swój gabinet i gdzie ulokowane były służby gospodarcze lokalu. W pokoju ochroniarze usadzili młodego człowieka, usiłującego nie podporządkować się ich silnym dloniom, na krzesło, a szef ochrony podszedł do niego i stanął o pół kroku.

- Przeszukaliście?

- Czysty jest Siergieju Piotrowiczu. Nawet noża nie ma.

- Po co chcesz się spotkać z Mariniczem?

- Muszę... to bardzo ważne... chcą go...

- No?

- Chcą go... zabić!

- Kto?

- Powiem mu... w cztery oczy...

- Mów tu, przekażemy mu.

Zegar na ścianie zaczął wybijać dziesiątą. W tej samej chwili młodzieniec poderwał się, kopniakiem powalił na podłogę szefa ochrony, chłopaka z lewej po prostu odrzucił na pulpit monitoringu, wykazując się przy tym sporą siłą, drugiego ochroniarza rzucił na podłogę i wybiegł na korytarz. Ochroniarze poderwali się, skoczyli za nim i w tym momencie rozległ się wybuch.

Szef ochrony, podnosząc się z kolan, zdążył zobaczyć przez otwarte drzwi, jak ciało uciekiniera błysnęło fioletowo-bzowym wyladowaniem i rozpadło się strugami ognia we wszystkie strony. Fala uderzeniowa zburzyła połowę korytarza, część pomieszczeń z obu jego stron, pokój ochrony, i wywalila drzwi do gabinetu gospodarza, ale sam Marinicz nie poniósł uszczerbku na zdrowiu. Rzeczywiście czuł się kiepsko i nie zamierzał tego wieczoru schodzić do sali, po prostu wolał posiedzieć sobie z przyjaciółmi i pospożywać, jak lubił mawiać, "jadło haute couture".

Wybuch był tak silny, że zadrzał cały sześciopiętrowy budynek z czasów stalinowskich. Na szczęście grubość i wytrzymałość ścian uratowały obiekt, ucierpiało tylko piętro i runęła część podłogi drugiego. Z czterech ochroniarzy, pełniących tego fatalnego dnia służbę w pokoju kontroli, ocalała dwójka, w tym szef ochrony. Opowiedział przybyłym członkom pododdziału specjalnego o zamachowcu-samobójcy, po którym zostały tylko kamasze, guziki i strzępy garnituru.

Inwigilację Nikołaj Aleksandrowicz Zimiatow, general-major milicji, zastępca Komendy Miejskiej MSW miasta Moskwy, odkrył następnego dnia po eksplozji w restauracji "Terpsychora". Właściciela znał od dawna, od piętnastu lat, przyjaźniły się ich rodziny, odwiedzali się z okazji różnych uroczystości, w ogóle - spotykali się dość często, a od czasu, kiedy Losza Marinicz stał się biznesmenem i właścicielem lokalu, Spotkania te zaczęły mieć również status służbowy. Na szczęście w "Terpsychorze" spotkania były całkiem mile.

Tamtego wieczora Nikołaj Aleksandrowicz nie mógł przyjechać do piosenkarza na imprezkę, bo wraz z żoną siedział na daczce, ale rano, dowiedziawszy się o eksplozji, przybył najrychlej jak mógł na ulicę Strastnyj Pierieulok, gdzie znajdowała się restauracja. Został w niej przybitego Marinicza, ponuro przyglądającego się rumowisku na korytarzu oraz w salach swojego, jak mawiał, ulubionego dziecka, w które włożył niemalą fortunę.

Po rozmowie z Aleksiejem Nikołaj Aleksandrowicz uznał, że wybuch nie jest po prostu dziełem rąk jakiejś wielkiej grupy przestępczej, "kontrolującej lokale, ale czymś innym. Marinicz z mafią nie miał do czynienia, pieniędzy na lokal u nikogo nie pożyczał - wziął kredyt w banku, nie miał długu i zamierzał zarabiać na życie uczciwie, dlatego też udzielił odmownej odpowiedzi przedstawicielom "prywatnej firmy ochroniarskiej", która zaproponowała mu "parasol". Za niemale, rzecz jasna, pieniądze. Wybuch oznaczał, że "ochroniarzom" nie przypadła do gustu niezależność świeżo upieczonego właściciela knajpy, nie wpłynęła na ich decyzję również znajomość Marinicza z general-majorom milicji i fakt przynależności klienteli do środowiska artystycznej bohemy, w skład której wchodził znani aktorzy, piosenkarze i muzycy. Zamach wykazał, że Marinicz miał zostać nie nastraszone, ale zabite; zdecydowanie bandytów zmuszało do poszukiwania przyczyn takiej desperacji i do zdecydowanego działania w celu likwidacji grupy, ponieważ ludzie ci, jeśli można o nich mówić ludzie, nie bali się nikogo.

Jeszcze jeden niuans denerwował Nikołaj Aleksandrowicza: charakter wybuchu. Jeśli szef ochrony nie kłamał, zamachowiec nie miał przy sobie urządzenia wybuchowego, a mimo to eksplodował!

Jeśli nawet przyjąć, że został źle przeszukany, to i tak jego całkowitego zniknięcia nie dało się wytłumaczyć użyciem żadnego materiału wybuchowego. Przecież ze sprawy nie zostało dosłownie nic. Tylko buty, guziki i strzępy garnituru!

W rozmowie z przygnębionym Mariniczem Nikołaj Aleksandrowicz obiecał, że wyjaśni incydent, wykorzystując swoje kanały, potem zadzwonił do Zarządu i wezwał eksperta, pomimo że w budynku trudziła się już grupa dochodzeniowa MSW. Ale general miał swoje powody. Zamach na kilometr śmierdział eksperymentem, zwyczajna intuicja nie pozwalała przypisać go jakimś mafijnym porachunkom. Z gabinetu Marinicza Nikołaj Aleksandrowicz połączył się z Federalnym Biurem Bezpieczeństwa, poprosił do telefonu swojego starego znajomego, pułkownika Szczerbatowa, i podzielił się z nim swoimi domysłami. Po rozmowie usiłował uspokoić Marinicza, a jeszcze później, kiedy wyszedł na ulicę Srietienka, niemal od razu odkrył ogon.

Prowadzono go znakomicie, za pomocą "cierplivej kolejki", Stosując stałą łączność radiową, ale Nikołaj Aleksandrowicz pracował w milicji trzydzieści lat z hakiem i był wystarczająco doświadczony, by rozpoznać wszelkie niuanse obserwacji zewnętrznej. Nawet będąc zastępcą dowódcy Zarządu Głównego spraw wewnętrznych, nie stracił swych nawyków, regularnie zajmował się sportem, przyzwyczajony do utrzymywania się w dobrej formie.

"Prowadzono" go przez cały czas, mimo że Nikołaj Aleksandrowicz poruszał się służbową wolgą i mógł do rozpracowania obserwatorów użyć operacyjnych służb specnazowskiej sekcji "zewnętrznej". Do wieczora dwukrotnie wyjeżdżał w sprawach zawodowych w odległe konce miasta, i za każdym razem dostrzegał za sobą ogon, chociaż woldze towarzyszyły ciągle zmieniające się samochody. W końcu nie wytrzymał i, wybierając się na spotkanie z kolegą-czekistą, wziął dodatkowo samochód operacyjny, zamierzając przekazać obserwujących go ludzi w ręce zawodowców. Jednakże ze zdziwieniem odnotował, że tym razem nikt za nim nie jedzie. Śledzący go ludzie wiedzieli widocznie, kiedy można "prowadzić" generała, a kiedy nie, jakby ktoś ich wcześniej uprzedził o podjętych krokach.

Pułkownik Szczerbatow na miejsce spotkania wybrał kawiarnię "Cicha woda" na Nabrzeżu Bieriezkowskim, pełniącą rolę swoistego azylu - miejsca spotkań wysoko postawionych pracowników służb specjalnych. Kawiarnia należała do kontrwywiadu wojskowego, miała wspaniałą obsługę, można tu było porozmawiać o interesach i przyjemnie spędzić czas, dlatego nigdy nie świeciła pustkami.

Spacerując wzdłuż koronkowej żeliwnej balustrady na nabrzeżu Nikołaj Aleksandrowicz, przyglądając się zachodzącemu za rzeką słońcu, wysłuchał meldunku dowódcy towarzyszącej mu grupy - jest cicho i spokojnie, nie wykryto oznak "obcego zainteresowania" - i zwolnił samochód. Chwilę potem zauważył na

parkingu wysiadającego z identycznej czarnej wołgi pułkownika Szczerbatowa z dwoma ochroniarzami i ruszył w jego stronę. Dalsze wydarzenia rozegrały się w ciągu kilku sekund.

Z kawiarni wyszedł starszawy mężczyzna w porządnym jasnym garniturze, wyjął papierosa z paczki i przechodząc na drugą stronę ulicy, ku nabrzeżu, spotkał się w połowie drogi z Nikolajem Aleksandrowiczem, którego poprosił o ogień. Na tym odcinku ulicy samochodów było mało, ale general i tak nie zamierzał bawić się w przypalanie papierosów na środku drogi - zatrzymawszy się na mgnienie oka, pomaszzerował dalej, nawet nie odbierając zapalniczki. W tym momencie człowiek, który poprosił o ogień, eksplodował!

Wybuch był tak silny, że ciało Nikolaja Aleksandrowicza fala uderzeniowa cisnęła o trzydzieści metrów dalej, wbijając je w ścianę kawiarni. Żeliwna balustrada spadła do rzeki, dwa najbliższe stojące samochody przewróciły się na dachy, a we wszystkich domach otaczających kawiarnię wypadły szyby.

General zmarł, nie odzyskawszy przytomności, na rękach pułkownika Szczerbatowa, potężnie w wyniku eksplozji podrapanego i potłuczonego. Po samobójcy, który wysadził się w powietrze na oczach dwudziestu świadków, nie pozostało nic, jeśli nie liczyć zapalniczki i strzępów garnituru.

Kolejna butelka po piwie gruchnęła z brzękiem na daszek nad bramą i Potapow w końcu tak się zdenerwował, że postanowił raz na zawsze załatwić sprawę z miłośnikami popijania i wyrzucania butelek dla zabawy na podwórko.

W piętnastopiętrowym bloku przy ulicy Rogowa zamieszkał niedawno, pół roku po śmierci ojca, docenta chemii i byłego kierownika laboratorium w Instytucie Kurczatowa; mieszkanie Potapow otrzymał w spadku. Ojca specjalnie dobrze nie znał, wpadał do niego rzadko, że dwa razy w miesiącu, czasem spotykał się z nim na dacy w Górkach, ale mama nie akceptowała tych spotkań, więc Potapow ograniczył je do minimum, czego teraz żałował. Ojciec był dobrym człowiekiem, a z matką nie udało im się stworzyć szczęśliwego związku z powodu jego zaangażowania w pracę - ojciec każdą wolną chwilę poświęcał na badania, a mama chciała, by tak znany, uczony, chociaż raz na jakiś czas, przestawał być maszyną badawczą i zwracał na nią uwagę częściej niż dwa razy w roku, w urodziny i na dzień kobiet. Przeżywszy z mężem dwanaście lat, odeszła od niego, zabierając syna, i Potapow dzieciństwo i młodość spędził w Bibiriewie, w jednopokojowym mieszkanku przy ulicy Pleszczewa. Ale nie zdziwił się, kiedy po pogrzebie ojca odnalazł ich egzekutor sądowy i przeczytał testament Potapowa seniora, mówiący o przekazaniu trzypokojowego apartamentu w dzielnicy Szczukino na własność synowi. Wkrótce Potapow przeprowadził się do

nowego mieszkania, posortował manele, którymi było nabite pod sufit, odrestaurował stare; ale wspaniałe wykonane meble z czasów rosyjskiego renesansu, ustawił je po nowemu i po raz pierwszy w życiu poczuł się wreszcie jak człowiek niezależniony od warunków mieszkaniowych.

Ale nie na długo.

Najpierw wieczorami w mieszkaniu nad nim zaczęli gromadzić się młodzi ludzie w wieku od dziewiętnastu do dwudziestu dwóch lat, włączali aparaturę na cały regulator i nie dawali Potapowowi, a i sąsiadom, ani wypocząć, ani się wyspać. Trwało to mniej więcej miesiąc, Potapow starał się przetrzymać młodzież - w końcu sam też lubił posiedzieć w miłym towarzystwie, może nie tak głośnym i irytującym. Po jakimś czasie, w trakcie kolejnej imprezki, o drugiej w nocy ze swojego pierwszego poszedł na drugie piętro i spokojnie usiłował wytłumaczyć młodym ludziom, że zachowują się niewłaściwie. Oczywiście, nikt nie zamierzał go słuchać, sypnęły się obietnice typu "pysk objemy", jeśli jeszcze raz "dokona zamachu na święte prawo człowieka do takiego wypoczynku, jaki on sam uzna za właściwy". Młodzież, sądząc po wypowiedziach, była ocytana, choć jednocześnie maksymalnie infantylna. Potapow wściekł się. Powstrzymał się i nie wdał z nimi w bójkę, mimo że mógłby całe to towarzystwo rozłożyć na łopatki w ciągu kilku sekund - po prostu zadzwonił do dyżurnego Zarządu, naszkicował sytuację, i za pół godziny pod jego dom podjechał dziesięć Wydziału z grupą operacyjną. Chłopcy byli w czarnych kombinezonach, z kominiarkami na twarzach, obwieszeni bronią jak choinki, aż miło było na nich patrzeć. Kilka minut później cała paczka wesółych jeszcze chwilę temu "królów życia" - piątka chłopaków i dwie dziewczyny - siedziała w samochodzie i czkała ze strachu, nie rozumiejąc, co się stało. Potapow poszedł spać. Potem opowiedziano mu, że dziewczyny zostały wypuszczone przy komendzie milicji, a chłopaków wywieziono za miasto i zostawiono w lesie, ostrzegając, że następnym razem zostaną utopieni w rzece. Od tego momentu pijaństwa w mieszkaniu nad głową Potapowa skończyły się. Za to zaczęło się regularne wyrzucanie na daszek bramy pustych butelek, puszek, plastikowych torebek i resztek jedzenia, co w końcu doprowadziło Potapowa do szału, ponieważ dwa okna jego mieszkania wychodziły dokładnie na daszek, a odłamki butelek czasem wpadały nawet do kuchni przez otwarte okno. Na dodatek cały ten śmietnik potwornie śmierdział.

Wkrótce Potapow wykrył, że butelki zrzucali z jedenastego piętra wynajmujący tam mieszkanie ni to Ormianie, ni to Azerowie. Nie za bardzo miał ochotę na wdawanie się z nimi w spory, ale ponieważ wezwany dzielnicowy niczego zrobić nie mógł, pod pretekstem, że niby nie schwytyany na gorącym uczynku nie jest niczemu winien, Potapow postanowił działać osobiście i gdy tylko pewnego majowego wieczoru rozległ się brzęk szkła, wjechał na jedenaste piętro.

Michail Potapow skończył niedawno dwadzieścia dziewięć lat. Pracował w Zarządzie Operacyjnym

Wydziału Antyterrorystycznego Federalnej Służby Bezpieczeństwa pod dowództwem pułkownika Szerbatowa. Odслужyl swoje w oddziałach desantowych, ukończył wydział prawa moskiewskiego uniwersytetu, od dzieciństwa zajmował się sztukami walki, dużo czytał, pasjonował się ezoteryką i nawet ożenił się w wieku dwudziestu jeden lat, ale przeżył z młodą żoną tylko krótkie cztery miesiące.

W niewyjaśnionych okolicznościach utonęła w jeziorze Issyk-Kul w Kirgizji, nad które pojechała z koleżanką Potapow nie mógł im wtedy towarzyszyć z powodu egzaminów. Od tej pory mieszkał samotnie, od czasu do czasu pozwalał sobie na krótkie romanse i rozstania bez pretensji i żalu. Drugiej takiej kobiety jak Daria na razie nią spotkał.

Naciskając przycisk dzwonka Potapow przypomniał sobie ulubione, przypisywane Pitagorasowi, powiedzonko ojca: "Jednako niebezpiecznie dawać szaleńcowi miecz, jak i nieuczciwemu władzę"; pomyślał, że ojciec miał w stu procentach rację, ale miecz od czasu do czasu należy wyjmować z pochwy, żeby leczyć jakieś społeczne przypadłości, wymagające chirurgicznej interwencji. Toteż gdy drzwi się uchylily, w szczelinę, w której majaczyło posępne, smagle i wąsate oblicze "osoby o narodowości kaukaskiej", powiedział:

- Bardzo proszę wezwać gospodarza.

- Ja jestem gospodarz - odpowiedziała osoba z mocnym kaukaskim akcentem.

- W takim razie proszę was albo waszych gości, żebyście więcej nie wyrzucali butelek przez okno. Żeby uniknąć nieprzyjemności.

- A ty kto? - zainteresowała się osoba, nawet nie usiłując zaprzeczyć zarzutom.

- Ja mieszkam na pierwszym piętrze i bardzo bym nie chciał, żeby dach bramy zamienił się w śmietnik.

- No to idź do siebie - mruknęła osoba, próbując zamknąć drzwi, w które Potapow, uśmiechnąwszy się sympatycznie, wsunął czubek buta.

- Nie dociera? Czy może waszą odpowiedź mam interpretować jako obietnicę, że już będziecie żyli jak ludzie, a nie jak świnie?

Wąsacz popatrzył na stopę Potapowa, zawołał kogoś, drzwi otworzyły się szerzej i na progu pojawił się jeszcze jeden aborygen, w sportowym dresie, ale już nie o wyglądzie kaukaskim, a wyraźnie słowiańskim, i budowie najczęściej określanej słowem "byk".

- Czego, chłopcze?

Potapow ponownie usiłował wytłumaczyć, o co mu chodzi, wsłuchując się jednocześnie w odgłosy dobiegające z mieszkania: sądząc z nich zamieszkiwało tam liczne towarzystwo ludzi określonego typu, ale dotarcie do świadomości byka nie było rzeczą łatwą. A może i niemożliwą bez młota.

- Cheysz jeszcze pożyć, to zmiataj i żybym cię wiency nie widział tu - wyrzucił z siebie byk. W odróżnieniu od gospodarza mówił z mocnym akcentem ukraińskim. - Ne zaczypiaj. Cheymy - rzucamy, ne

cheymy - ne rzucamy. Kapujesz? Cheysz - idź na milicję, tyko późni ne miej pretynsji.

- A bez milicji się nie dogadamy? - marudził Potapow, w duchu wściekając się coraz bardziej. - Istnieją normy ludzkiego współżycia, należy ich przestrzegać, nie jesteście na pustyni, w górach Kaukazu nie żyjecie, dookoła mieszkają inni ludzie i należy się do nich odnosić z szacunkiem.

- A spierdalaj, prawnik się znalazł! - Buhaj zamachnął się... i zgiął we dwoje, łapiąc rękami za brzuch.

Potapow pchnął go w czoło, byczysko ogromnym dupskiem opadło na porozrzucone po całym przedpokoju obuwie. Smagłolicy współmieszkaniec buhaja rażno odskoczył do tyłu i rozdarł się, wyciągając z kieszeni składany nóż:

- Stiepan, Gejdar, do mnie!

Do przedpokoju wypadli dwaj w slipach i podkoszulkach, młodszy i starszy, jeden ciemny blondyn, drugi czarnowłosy, ale obaj z twarzami pokrytymi szczecina i może dlatego podobni do siebie jak bracia.

- Stop, chłopy! - Potapow uniósł przed sobą ręce. - Nie przyszedłem tu się bić, ale spokojnie załatwić sprawę. Nie jesteście, o ile wiem, w swoim mieszkaniu, i nie potrzebujecie awantury. Obiecujcie, że będziecie spokojnie i cicho sobie mieszkali, jak wszyscy, nie brudzili w bramie i na klatce schodowej, nie rzucali przez okno butelek, a ja sobie pójdę.

- My ciebie zaraz mordę nabijemy - obiecał wąsaty, niespokojnie zerkając na buhaja, który ciągle jeszcze nie mógł złapać oddechu. - Albo potnemy cię.

- To jest, oczywiście, wariant smutny, ale - obawiam się - nie do realizacji. Jestem praworządnym obywatelem, a wy tu, sądząc po zapachu, wynajmujecie mieszkanie. Wystarczy żebym zadzwonił gdzie trzeba, i za dwie godziny was stąd zabiorą. No to jak będzie, obywatele mili, urządza was taka sytuacja?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, wyraźnie nie wiedząc, co należy robić dalej. Widocznie przywódcą był jęczący na podłodze buhaj.

- Dopsze - ponuro rzucił wąsaty. - Wracaj do siebie, ne bendemy.

Słyszając to, Potapow uśmiechnął się.

- Dziękuję za dobre słowo, zuchu. Wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że się więcej nie spotkamy.

Odwrócił się, żeby wrócić do swojego mieszkania, i w tym momencie buhaj z okrzykiem: "zabiję, skurwysyna!" - rzucił się na niego.

Potapow, nie odwracając się, wystawił do tyłu lokieć, doczekał się kwiku - to byczysko nadziało się na kontrę - po czym odwrócił się na pięcie i kantem dłoni przyłożył w byczy kark przeciwnika, tak, że tamten walnął z powrotem na plecy do przedpokoju i tam na podłodze znieruchomiał.

- Przepraszam, to niechcący - oznajmił z zimną krwią Potapow, obrzuciwszy znaczącym spojrzeniem całe towarzystwo. - Ręce mnie czasem swędzą...

Nieme towarzystwo w milczeniu przenosiło wzrok ze swojego przywódcy na Potapowa, już rozumiało, kto tu jest silny i pewny siebie.

- W mieszkaniu czekała na Michaila niespodzianka: telefon od szefa.

Po pół godzinie był już w Zarządzie, gdzie zebrali się tropiciele i myśliwi grupy antyterrorystycznej "Anteusz". Pułkownik Szerbatow posępnie zapoznał wszystkich z powstałym niedawno problemem, związanym z eksplozją w restauracji "Terpsychora" i zabójstwem generał-majora milicji Zimiatowa.

Problem był bardziej złożony, niż sądziło kierownictwo Zarządu. W ciągu trzech dni śledztwa nie udało się ani wykryć wykonawców aktów terrorystycznych, ani tym bardziej ich zlecciodawców. Mało tego, w związku z tym, że ha miejscu zamachów nie wykryto najmniejszych śladów materiałów wybuchowych, problem nieoczekiwanie przesunął się na inną, naukowo-techniczną płaszczyznę, i zaczęli go badać konsultanci naukowcy i eksperci Zarządu, czyli ci, którzy eksplozje w restauracji "Terpsy chora" i obok kawiarni "Cicha woda" interpretowali jako procesy z "charakterystykami nieliniowymi". We wtorek Potapow, postawiony na czele grupy operacyjno-dochodzeniowej, spotkał się z szefem brygady ekspertów, docentem nauk fizyko-matematycznych, pułkownikiem Trubieckim, w jego gabinecie, i tam gospodarz podzielił się swoimi przemyśleniami co do sprawy.

- Wybuchy tego typu można odnieść do tak zwanych reakcji fotonowego samorozpadu. Wcześniej też stykaliśmy się z przypadkami samospalenia ludzi, z różnych powodów zmieniających się w obiekty z niestabilną energetyką, z powodu straty bioenergii i promieniowania elektromagnetycznego, ale w takich przypadkach ludzie po prostu spalali się doszczętnie, proces przebiegał szybko, ale jak reakcja łańcuchowa, z eksplozją. Analizowane przypadki - to już zupełnie nowy typ takich reakcji. Ktoś opanował sztukę inicjowania bioenergetycznej eksplozji i wykorzystywania ludzi w charakterze żywych min.

- Kto, waszym zdaniem, mógł to zrobić?

Trubiecki, małutki, siwy, żwawy, wiecznicie zajęty jakimiś obliczeniami, zdjął okulary i popatrzył na rozmówcę oczyma krótkowidza.

- Gdybym wiedział, już dawno bym o tym zakomunikował. Wiem tylko, że nasze laboratoria takimi rzeczami się nie zajmują, mamy po dziurki w nosie innych problemów. Ale egan -to bardzo ciekawy problem, mnie też zaczęły ręce świerzbic -kiedyś usiłowałem wykonać obliczenia strumieni energetycznych z próżniowym wzbudzeniem.

- Co to jest egan?

- Egoanihilacja, w skrócie: egan. Zwykle tym terminem posługują się psycholodzy, ale do naszych przypadków pasuje jak ulał.

- Czy to oznacza, że jakaś struktura przestępcza posiadała wiedzę, pozwalającą im wykorzystywać ludzi jako anihilacyjne urządzenia wybuchowe?

- Niekoniecznie przestępcza, ale jakaś mocna organizacja, dysponująca odpowiednią bazą naukowo-techniczną.

- Kompleks obronny? A czy nie istnieje inne rozwiązanie? Powiedzmy, jakiś nowy typ materiału wybuchowego, nie pozostawiającego żadnych śladów...

- Młodzieńcze - Trubiecki przetarł okulary i założył je na nos. - Żaden typ materiału wybuchowego z zasady nie może zniszczyć obiektu tak, by nie pozostało z niego nic! Nawet pyłku! Ludzie zniknęli, rozumiecie to? Wyparowali, zostali zanihilowani. I w związku z tym powstaje jeszcze jedna ciekawa zagadka - problem zombizacji, że tak powiem, problem zmuszania ludzi do stawania się żywymi trupami. W obu przypadkach ludzie ci byli zaprogramowani na samozagładę. Panu Marmiczowi udało się i pozostał żywy. Widocznie ten, kto wysłał doń kamikadze, był na sto procent pewien, że Marinicz będzie siedział w sali restauracyjnej. Ale martwi mnie jedna sprawa: ostentacja przy wykonaniu tych zamachów. Organizator nie obawia się odsłonić swoich kart, wręcz przeciwnie. Szukajcie więc tego, kto naprowadził samobójcę na taki sposób działania, albo i samego zlecciodawcy zamachu, wśród przyjaciół piosenkarza.

- Dziękuję za radę, Wadimie Siergiejewiczu - powiedział Potapow. - To tak, jakby oznajmiał: patrzcie, czym władam! Dlaczego tak postępuje? Po co mu ten hałas?

- Nie mam pojęcia - pokręcił głową Trubiecki. - Może zamierza szantażować nasze resorty siłowe albo rząd, albo jeszcze kogoś tam. Ale zapewniam was, że tak nie postępują firmy państwowe, bo one eksperymentują w ciszy, w tajemnicy, i świadków nie ujawniają.

- To wiem - w zamyśleniu kiwnął głową Potapow. Przed końcem dnia grupa wpadła na trop prywatnej firmy ochroniarskiej "Argus", przedstawiciele której odwiedzili Marinicza przed wizytą "żywej miny". Potapow naszkicował plan działań w stosunku do firmy, zameldował Szerbatowowi o wynikach dochodzenia i wieczorem wybrał się do restauracji "Terpsychora", chcąc porozmawiać z właścicielem o jego kontaktach z generałem Zimiatinem, a także o przyjaciółach i kolegach muzyka. Wersja Trubieckiego, mówiąca, że zlecciodawca albo "celowniczy" zamachu znajduje się wśród nich, musiała być rozpracowana.

Restauracja otworzyła już ponownie swe podwoje. Obie sale, Kryształowa i Aksamitna, już przed dwudziestą drugą były wypelnione niemal całkowicie i Potapow musiał nawet czekać chwilę, zanim znaleziono mu miejsce przy stoliku w Sali Kryształowej, za cienką szklaną kolumną, przedstawiającą pień palmy. Przy stoliku siedział już pewien dość niedbale odziany jegomość: fioletowy, prążkowany, niemodny garnitur, zielona koszula z rozpiętym kołnierzykiem, przekrzywiony na bok bordowy krawat z epoki

Brezniewa. Siwy starszy pan sączył piwo. Na powitanie Potapowa nie odpowiedział, tylko przemknął po nim spojrzeniem i odwrócił się. Potapow sprawdził, na co patrzy starzec, i przy stoliku pod ścianą zobaczył parę: młodego człowieka o wyglądzie boksera, o nieprzyjemnej twarzy reketiera czy bandyty, i ładną młodą brunetkę, słuchającą swego sąsiada ze zmarszczonymi brwiami i zarumienioną twarzą. Krótka czarna sukienka odsłaniała jej zgrabne nogi niemal do pasa, ale -pochłonięta sprzeczka- nie zauważała tego. Co kilkanaście sekund usiłowała poderwać się i odejść, ale rozmówca zatrzymywał ją, usiłując coś udowodnić.

Posiedziawszy tak dobre pół godziny i nie doczekawszy się końca rozmowy młodej pary, Potapow udał się na piętro lokalu, którego korytarz został już wyremontowany. Pokazał ochroniarzowi legitymację i wszedł do gabinetu właściciela restauracji.

Rozmowa z Mariniczem nie zajęła wiele czasu. Znajomych muzyk miał co niemiara, szczególnie w środowisku artystycznym i show-biznesu, a przyjaciół - niewiele. Potapow nagrywał rozmowę na dyktafon, a w pamięci odnotowała nie zdradzając się przed rozmówcą, trzy nazwiska, po czym pożegnał się z ciągle jeszcze czującym się niepewnie gospodarzem. Przechodząc przez salę zauważył, że nie ma już w niej ładnej nieznajomej z jej kawalerem, współczuł staruszkowi w fioletowym garniturze, na którym dziewczyna wywarła, jak się wydawało, ogromne wrażenie, i wyszedł na zewnątrz. Wsiadając do samochodu zauważył, że nieopodal rozgrywa się niezupełnie zwyczajna scena, w której uczestniczy właśnie śliczna brunetka z restauracji.

Widocznie doszło tu do finału kłótni, której introdukcję obserwował w lokalu. Dziewczyna strąciła z ramienia dłoń młodziana z manierami i obliczem gangstera, i zostawiwszy go na parkingu, szybko ruszyła przez ulicę, ale chłopak dogonił ją, chwycił za rękę, pociągnął do siebie. Dziewczyna ponownie wyrwała rękę, ale młodzieniec chwycił ją, wykręcił za plecy tak, że dziewczyna krzyknęła z bólu, i powłókl ją do białego mercedesa, gdzie siedziało jeszcze dwoje młodych ludzi. Drzwi otworzyły się, chłopak zaczął wciągać dziewczynę do wnętrza, ta ponownie krzyknęła, nie poddając się. Potapow postanowił, że należy się wtrącić.

Podszedłszy do młodziana od tyłu, trącił go w szyję w wyuczony sposób, co spowodowało, że tamtemu odjęło rękę, którą trzymał dziewczynę. Ta wyrwała się, odskoczyła, ale przechwycił ją wylazący z mercedesa barczasty pachol ostrzyżony na jeża, dokładniej - ogolony niemal na zero, z krótką grzywką nad wąskim czołem. Chłopak wpychający dziewczynę do wozu obejrzał się. Oczy miał prawie białe, wścickie, niemal pozbawione źrenic. Takie oczy zwykle mają narkomani, na haju.

- Czego chcesz, capie?

Potapow popatrzył na dziewczynę.

- Przepraszam, że się wtrącam, ale oni zachowują się niezbyt uprzejmie. Jeśli pani chce, odwiozę panią do domu.

Dziewczyna, przygryzając karminową wargę, skinęła głową. Zarumieniona, z nieco skośnymi oczami, w których rodziły się łzy, wyglądała niezwykle czarująco i Potapow nawet zaczął zazdrościć jej znajomym.

- Spadaj, capie, póki żyjesz! - warknął odzyskujący kontenans "gangster". Wsunął rękę pod połę marynarki, więc Potapow dźgnął go kciukiem w szyję, nie zamierzając wdawać się w "pokazowe występy walki wręcz". Potem, bez chwili przerwy, kopnął w drzwi mercedesa, odrzucając do jego wnętrza gramolącgo się na zewnątrz kierowcę, pacnął w uszy sportowca z czubem, wyprowadził błyskawiczny, niezauważalny niemal z boku cios, zgiętym palcem wskazującym w zagłębienie za uchem, tak zwany koken, i chwycił dziewczynę pod łokieć.

- Chodźmy, mój wóz stoi tam.

Zdumiona dziewczyna obejrzała się na swych znajomków, z których jeden opadał właśnie na asfalt, trzymając się za uszy, a drugi już siedział na ziemi obok samochodu, oparty plecami o koło; przeniosła wzrok na Potapowa i wyrwawszy rękę ruszyła przed siebie.

Michaił wzruszył ramionami, już trochę żalując, że wplątał się w tę aferę. Pomaszerował do swojego forda, zerkając na znikającą właśnie za rogiem zgrabną sylwetkę. Potem obejrzał się, słysząc szcęk drzwi: to wygramolił się kierowca mercedesa, tak samo napompowany, jak i jego kolesie, z łańcuchem na szyi i masywnymi sygnetami na palcach obu rąk.

- Hej, ty, przyglupie! - warknął, trzymając rękę pod pachą, gdzie, sądząc po groźnej wypukłości, miał w kaburze pistolet. - Wiesz, na kogo trafieś?! Przecież my zrobimy z ciebie papkę, będziesz się modlił o śmierć...

"Lekka śmierć to jeszcze jedna z szeregu małych radości życia", przypomniał sobie Potapow czyjś aforyzm. Nie odzywając się ani słowem, rzucił w chłopaka grzebieniem i, póki tamten odruchowo uchylał się i wyjmował broń, w skoku sięgnął go nogą. Kierowca przeleciał przez maskę mercedesa, wypuszczając pistolet z ręki, i zniknął w krzakach pod siatką ogrodzenia. Potapow wsiadł do samochodu i spokojnie wyjechał z parkingu obok restauracji. Nie zauważył, że prócz przechodniów, świadków krótkiej potyczki, odprowadzała go para uważnych oczu, należących do staruszka w fioletowym garniturze i zielonej koszuli z bordowym krawatem, zawiązanym umyślnie niedbale i przekrzywionym na bok.

Dziewczynę w czarnej sukience, którą uwolnił od towarzystwa podchmielonych młodzieńców, Potapow zauważył stojącą na następnym skrzyżowaniu. Podjechał, otworzył drzwi:

- Nie chciałbym wyjść na natręta, ale warto, żeby jak najszybciej stąd pani zniknęła. Pani znajomi zaraz się ockną. Proszę wsiadać i nie bać się mnie, ja naprawdę nie jestem z tego towarzystwa.

Dziewczyna obejrzała się, przygryzła wargę, potem potrząsnęła głową i wsiadła do wozu obok Michaila.

- Ulica Rogowa, jeśli można. Wie pan, gdzie to jest? Dzielnica Szczukino.

Potapow wydal z siebie krótki głuchy gwizd.

- Co się stało? - Odwróciła się ku niemu ładna głowa z krótką, ale bardzo oryginalną fryzurką.

- Jesteśmy sąsiadami, ja też mieszkam na Rogowa. Dziewczyna wzruszyła ramionami, wtuliła się w kąś siedzenia i umilkła, wpatrując się przed siebie szklanymi oczami. Ciągłe jeszcze przeżywała w myślach swoją kłótnię z młodymi ludźmi, którzy ujawnili przy tym wcale ciemne strony swoich dusz.

- Jak pani na imię?

- Daria - odpowiedziała beznamiętnie.

- A mnie: Michail. - Potapow powiedział to lekko, ale w duchu zjechał się. Daria to było imię jego zmarłej żony. Jakoś odechciało mu się zabawiać towarzyszkę podróży rozmową. Ale i tak nie mógł nie zaproponować swojej osoby w charakterze ochroniarza.

- Czego oni od pani chcieli? Zauważyłem was już w restauracji, siedzieliście nicopodal...

- To osobista sprawa - tak samo obojętnym tonem odpowiedziała Daria.

- Może potrzebuje pani pomocy? Mogłbym z nimi porozmawiać...

- Dziękuję, nie warto. - Dziewczyna jakby ocknęła się, w jej oczach zapłonęły iskierki ironii. - Jest pan bardzo miły. Proszę się tu zatrzymać, dziękuję.

- Ale jeszcze nie jesteśmy na miejscu. - Ja już wysiadam.

Potapow zatrzymał samochód na placu Kurczatowa, dziewczyna otworzyła drzwi i wysiadła.

- Proszę, to mój telefon na wszelki wypadek. - Potapow podał jej kawałek papieru z pośpiesznie nagryzonym numerem telefonu. - Może się przyda.

Daria zatrasnęła drzwi, ruszyła przed siebie, ale potem nagle zawróciła, otworzyła drzwi i sięgnęła po karteczkę.

- Przepraszam, pan niczemu nie jest winien. Zadzwoń... jeśli będę w potrzebie.

Odwróciła się i szybko pomaszcerowała w kierunku stacji metra. Potapow, ucieszony z takiego obrotu sytuacji, odprowadził ją wzrokiem i w końcu włączył się do ruchu. Po pięciu minutach, nutach był już w domu. Rozmyślając o dziwnych losach kolejkach, o swoich stosunkach z piękną, o pechu w ogóle i o przypadkowych znajomościach, wziął prysznic, zaparzył herbatę i usiadł w salonie przed telewizorem, ale nie udało mu się odprężyć: odezwał się sygnał telefonu. Dzwonił Boria Lipiagin, porucznik, starszy dochodzeniowy zespół.

- Pociągnęliśmy nitkę, Misza. Ochroniarska firma "Argus" jest powiązana z jakąś inną firmą o nazwie Rolno-Przemysłowa Kompania "Wostok", znajdującą się na terenie Akademii Rolniczej im. Timiriaziewa. Usiłowaliśmy przysunąć się bliżej ale się nie udało: poważna ochrona, face control, kamery, psy. Ale

najciekawsze jest to, że kompania o takiej nazwie nigdzie nie jest zarejestrowana.

- To rzeczywiście interesujące - zgodził się Potapow. - Nie kręćcie się tam, żeby się któryś nie zaświetlił, bo ich spłoszycie, jeśli to są ci, których szukamy. Ja posperam w sieci, może coś wygrzebię, a wtedy zabierzemy się za tego "Wostoka".

- Ja też mogę posperać w serwerach resortów siłowych.

- Dobra, zrób tak. Pogadamy rano.

Potapow znowu zapatrzył się w telewizor, ale przed oczami miał twarz nowej znajomej o imieniu Daria; żałował teraz, że dał jej numeru telefonu, usiłował wyobrazić sobie powody jej sprzeczki z krótko ostrzyżonymi pacholami, przypominającymi ni to reketierów, ni to ochroniarzy jakiegoś twardego "nowego Rosjanina". W tym momencie znów zadzwonił telefon.

- Szybko na Piatnicką numer dziesięć, mieszkanie dwadzieścia dwa, majorze - nosowo zabrzmiał w słuchawce głos Szczerbatowa. - Jedna noga tu, druga tam.

- Co się stało? - poderwał się Michail.

- Przed chwilą do komendy milicji zadzwonił członek Dumy Państwowej, Nozdrienko; twierdzi, że dwa dni temu porwali go jacyś ludzie, przetrzymali w piwnicy, a potem przepuścili przez jakieś urządzenie przypominające rentgen, i w tej chwili z tego powodu świecą mu się w ciemnościach paznokcie, potem pod hipnozą polecieli mu pojawić się na porannym posiedzeniu i wymienić ha powitanie uścisk ręki ze spikerem Dumy. Ale on uciekł i teraz ukrywa się u znajomego na Piatnickiej. Chwytasz?

- Jak mamy przyszyć do naszego dochodzenia deputowanego Nozdrienkę? - ostrożnie zapytał Potapow.

- Rozmawiałeś z Trubieckim?

- Rozumiem - po chwili zastanowienia powiedział Potapow. - Uważa pan, że to nowy zaminowany człowiek? Jak więc udało mu się uciec tak potężnej organizacji, mającej aparaturę do hipnozy i obróbki?

- Nie wiem, może swoiście reaguje na hipnozę: podporządkowuje się jej, ale pamięta wszystko, co mu podczas seansu nakazywano. Istnieje taka "biała" reakcja. A do niego wysłałem już operacyjnych Bogdańca. Jedź tam.

Potapow przebrał się w ciągu minuty, wsunął do kabury pistolet i wypadł z domu. Po pół godzinie był już na Piatnickiej. Ale, jak się okazało, spóźnił się.

W lukowej bramie domu numer dziesięć stał tłum ludzi, powstrzymywany przez ludzi w mundurach maskujących, obok stały dwa milicyjne samochody z kogutami i wóz straży pożarnej, a w malutkim, trójkątnym podwórku, karetka pogotowia;

ludzie w białych fartuchach ładowali do jej wnętrza nosze z leżącym na nich zakrwawionym mężczyzną. Poza tym widać tu było wyraźne ślady wybuchu: dwa wozy splaszczone bocznie z potężną siłą, w dwu innych nie ocalała ani jedna szyba, w oknach niewysokich

piętrowych domów, tworzących pozostałe dwa boki trójkąta, również wyleciały wszystkie szyby.

- Kto to? - Potapow podszedł do zasępionego kapitana milicji, dowodzącego brygadą dochodzeniową.

- A kto was tu wpuścił? - mruknął tamten.

Michail pokazał mu legitymację, zobaczył wchodzących na podwórko operacyjnych Szczerbatowa, na czele z majorem Bogdańcem; przywołał ich ruchem ręki.

- Proszę związać stąd swoich ludzi, ta sprawa przechodzi pod nasze kompetencje.

- Prosiłbym nie... - zaczął kapitan, ale Potapow już odszedł. Skinąwszy na Bogdańca, by ten zaczął procedurę przejmowania sprawy, zbliżył się do przesłuchującego świadka śledczego.

- Dziękuję za pomoc, jesteście wolni.

Śledczy, niemłody już mężczyzna, niski, z bladą opuchniętą twarzą, popatrzył na swego dowódcę, wzruszył ramionami i schował do kieszeni notes. Potapow przyjrzał się świadkom:

dwóm dziewczynom i starszawemu grubasowi w kapeluszu, i poprosił ich, by powtórzyli to, co opowiedzieli już śledczemu. Po wysłuchaniu ich opowieści zrozumiał, że nie przyjechał nadaremnie. Najpewniej doszło tu do samozagłady "fotonowego" człowieka.

Świadkowie odmalowali mu przebieg wypadków.

Dwaj mężczyźni, z których jeden musiał być właśnie deputowanym do Dumy Nozdrienką, stali na podwórku obok śmietnika i palili papierosy. Potem podszedł do nich młody człowiek w jasnym płaszczu, coś powiedział i zaczął uciekać. A po kilku sekundach nastąpiła eksplozja.

Z mężczyzny, podobnego z opisu do Nozdrienki, nie zostało kompletnie nic, a jego rozmówcą fala uderzeniowa przeniosła przez całe podwórze i grzmotnęła o drzwi piętrowego domu z dziesiątkami biur różnych firm, teraz, rzecz jasna nieczynnych.

Wybuchowi towarzyszyło, według świadków, jasne, jak podczas spawania, światło. Dziewczyny, które akurat przechodziły przez podwórko, uratowała okoliczność, że w chwili wybuchu były osłonięte wysokim dżipem, a stary mężczyzna, najpewniej jakiś bezdomny, pochylił się, chcąc podnieść butelkę spod muru w bramie i przyplacił wybuch tylko guzem na głowie, kiedy fala rzuciła go na ścianę.

Kwadrans później przyjechał Szczerbatow, wysłuchał raportu Potapowa, obejrzał podwórko i odjechał, zatroskany i zaniepokojony. Nie komentował sytuacji, powiedział tylko, że oczekuje majora z raportem w porze obiadowej następnego dnia.

Potapow doczekał się pojawienia Lipiagina; pogawędzili ze śledczymi Bogdańca, przyjrżeli się butom i strzępkom szarej tkaniny - to było wszystko, co zostało z deputowanego. Potem pojechali do swych domów. Michail położył się spać dopiero o trzeciej w nocy.

Następny dzień był bardzo wyczerpujący. Potapow odbył rozmowy z dwudziestoma osobami, w tym z Trubieckim i jeszcze jednym specem - fizykiem, zajmującym się bioenergetyką i teorią oddziaływań pól, a potem z jeszcze kilkoma osobami, które mogły w jakikolwiek sposób pomóc w poszukiwaniach "fotonowych terrorystów", jak zaczęli nazywać poszukiwanych pracownicy Zarządu. Prócz tego Michail stracił sporo czasu, szperając w utajnionych sieciach komputerowych służb specjalnych, jeszcze raz przesłuchał szefa ochrony Mannicza i wraz z grupą Lipiagina przejechał się do parku Akademii Timinaziewa, by z oddali przypatrzeć się dwupiętrowemu budynkowi Rolno-Przemysłowej Kompanii "Wostok", stojącemu nad brzegiem stawu, na końcu ulicy Pasiecznej. Mimo że generalnie dzień nie obfitował w jakieś szczególne wydarzenia, to Potapow dokonał kilku interesujących odkryć.

Pierwsze: w trzewiach kompleksu obronnego istniał szereg utajnionych laboratoriów, zakres prac dotyczył zaś wszystkich aspektów ludzkiego życia, w tym i aspektów psychotronowego oddziaływania na ludzi, kodowania, sterowania psychiką i intelektem, jak również stworzenia broni na podstawie najnowszych naukowych osiągnięć, takich jak teoria psitorsjonowego pola czy teoria wymiany energoinformacyjnej.

Drugie odkrycie: nieoczekiwane pojawienie się "fotonowych" ludzi, zaprogramowanych na samozagładę, w pobliżu specjalnie wybranych obiektów, raczej kojarzyło się z doświadczalnym sprawdzeniem "żywych min", a nie z wykonaniem przez niezidentyfikowanych terrorystów planu zamordowania konkurentów czy niebezpiecznych świadków ich działalności. Taką technologią raczej nie mogli zająć zwyczajni przestępcy.

O tym właśnie zameldował Potapow wieczorem pułkownikowi, kiedy został wezwany do Zarządu. Szczerbatow zgadzał się mniej więcej z jego opinią, ale hipotez, co było dziwne, nie budował, mówił mało, był zatroskany i ponury. Na pytanie Michaila: - Nie jest pan przypadkiem chory, Władimirze Wasiljewiczu? - odpowiedział ponurym żartem:

- Nie obawiaj się, majorze, moja choroba nie jest zaraźliwa. Zwie się starość.

Potapow uważnie przyjrzał się pułkownikowi, który nie tak dawno skończył pięćdziesiąt dwa lata, i pokiwał głową.

- Do starości to jeszcze musi pan dożyć, pułkowniku. Proszę mnie oświecić, co się stało?

- Na razie nic. Ale jeśli będziemy grzebali się w tej sprawie w tym tempie, to coś się na pewno stanie. Krótko mówiąc, góra - Szczerbatow wniósł oczy ku sufitowi - dała mi do zrozumienia, że śledztwo powinniśmy wyciszyć. Łapiesz?

- To znaczy, że moje domysły są słuszne - prychnął Potapow. - To nie jest żadna mafia, to zabawia się jakaś państwowa firma, utajniona do takiego stopnia, że nawet w naszej bazie nie ma jej danych.

- Wygląda, że tak.

- Czy to znaczy, że mam wyhamowywać poszukiwania? Szerbatow zmarszczył czoło, wyjął z sejfów metalową piersiówkę, nalal do zakrętki, wypił.

- Chcesz lyczek koniaku?

Michail w milczeniu pokręcił głową.

- No to idź i pracuj.

- A jak?...

- Pracuj, powiedziałem! Nie znoszę, kiedy się eksperymentuje na ludziach! Nie usprawiedliwiają tego nawet dobre zamiary, służące "obronie ojczyzny". Zostaliśmy powołani do obrony społeczeństwa przed terrorystami, będziemy więc bronili... na całego. Stwórca dał człowiekowi ręce nie po to, by ten produkował narzędzia zabijania sobie podobnych, ale do tworzenia niepowtarzalnych arcydzieł. Już mój ojciec mi to mówił, zwykły wieśniak.

- Najbardziej niepowtarzalną rzeczą, stworzoną przez ręce człowieka - mruknął Potapow - są odciski palców. Pułkownik uśmiechnął się posępnie i podał mu rękę.

- Idź i działaj ostrożnie. Im szybciej dotrzesz do twórców "żywych min", tym więcej mamy szans ocalić własne skóry. - Pomyślał i dodał: - Generała Zimiatina sprzątnęli, ponieważ czegoś się domyślał, a on był moim przyjacielem. Łapiesz?

Potapow wyszedł z gabinetu w rozterce, unosząc w pamięci smutne spojrzenie Szerbatowa, świadomego przecież, co ryzykuje. Zjadł kolację w stołówce Zarządu, jeszcze raz spotkał się z Lipiaginem i pojechał do domu.

Cały wieczór odczuwał jakieś podniecenie i nie potrafił określić jego przyczyn, dopiero po kilku godzinach zrozumiał - potrzebuje kontaktu z kobietą. Przypomniał sobie wczorajszą skośnooką brunetkę - Darię, i gdy tylko o niej pomyślał, rozdzwonił się telefon.

- Michail? Nie za późno dzwonię? Pan mnie wczoraj podwiózł...

- Daria? - nie mógł uwierzyć własnym uszom Michail. - Właśnie o pani myślałem! Gdzie pani jest?

- W domu. Nie mam ochoty na samotny wieczór. Nie chciałby pan przejść się na spacer?

- Proszę przyjść do mnie. Mieszkam pod osiemnastką...

- Lepiej chodźmy do parku, popatrzymy na rzekę. Wiosna na dworze, a ja już od dawna nie spacerowałam wieczorem.

- Dobrze - szybko zgodził się Potapow. - Gdzie się spotkamy?

- Obok sklepu spożywczego, na Rogowa jest tylko jeden.

Potapow przez kilka sekund wsłuchiwał się w krótkie sygnały w słuchawce, nie wierząc w taki prezent losu, potem oprzytomniał i popędził przebierać się. Po kilku minutach stał już pod kioskiem z gazetami obok sklepu, a po minucie zjawiała się Daria, w białym płaszczyku i pantofelkach na wysokim obcasie.

Rzeczywiście, nie miała najlepszego humoru, chociaż starała się wyglądać i zachowywać swobodnie. Potapow, nagrodzony uśmiechem Fortuny, z sukcesem próbował poprawić jej humor, przechodząc samego siebie w temacie dowcipów i wesołych opowieści, połowę których wymyślał na bieżąco. W końcu udało mu się wywołać u Darii wesoły śmiech i reszta wieczoru upłynęła bardzo miło, niemal jak w młodości, kiedy nastoletni Potapow bardzo chciał zrobić wrażenie na koleżance z klasy, zakochanej w innym chłopaku.

Pospacerowali po parku, zeszli nad rzekę, posiedzieli w nowej kawiarni na ulicy Żywopięsnej, potańczyli nawet i znowu spacerowali po cichych i już wyludnionych o tej porze ulicach Szczukina, rozmawiając na wiele tematów, na które, jak się okazało, mieli niemal jednakowe zdania. O pierwszej w nocy pożegnali się pod numerem czteremastym, czyli zupełnie blisko domu Potapowa, Michail pocałował dziewczynę w rękę i poczekał, aż nie wejdzie do bramy, odrobinę rozczarowany, że nie został zaproszony do mieszkania. Nagle przypomniał sobie, że znowu nie wziął jej numeru telefonu, rzucił się w pościg, wykorzystując zapamiętany kod domofonu otwierający bramę. Wpadł do wnętrza i zatrzymał się, jakby uderzył piersią w ścianę.

Daria właśnie wchodziła do windy, w której stał już młodzien w jasnym prochowcu, ten, z którym była w restauracji. Drzwi windy zamknęły się, pojechała w górę. Skonfundowany tym, co zobaczył, Potapow zawrócił do wyjścia i natknął się na dwóch chłopaków w prochowcach, którzy bezszelestnie zeszli ze schodów za jego plecami. Jednego z nich, tego z grzywką, Michail już poznał - to on pomagał kawalerowi Darii wciągać ją do wozu.

- Czy nie uczono cię w szkole, palancie, że nie należy spacerować z cudzymi dziewczynami? - poinformował się drugi "prochowiec", niski, ale szeroki w barach, niemal kwadratowy, łącznie z głową, na której przybito pieczęć infantyliizmu; krótkie włosy i kanciasta żuchwa powodowały, że wyglądał na standardowego kryminalistę na posyłki u szefa.

Potapow, nie odpowiadając na zaczepkę, minął chłopaków, zaskoczonych jego obojętnością, ten z grzywką nawet odsunął się na bok.

Michail, wykorzystawszy ich zmieszanie, zwałił kwadratowego z nóg, uderzając kantem dłoni powyżej nosa, a "grzywce" wykręcił rękę trzymającą nóż tak, że tamten zawył i zgął się jęcząc we dwoje.

- Kim jesteście?

- Puść!.. Boli!.. My cię... okaleczymy!..

- Już to słyszałem. - Potapow wzmógł nacisk na przedramię chłopaka, ten opadł na kolana, zawył znowu. - Pytam raz jeszcze: kim jesteście? Dlaczego kręcicie się koło Darii? Kim jest ten blondas, który na nią czekał w windzie?

- Darii... ochroniarz... my ją... też... Puść! My robimy w ochronie... z tobą koniec, jeśli będziesz na nią ślepił! Boss cię...

- Kogo ochraniać?

- Puść rękę, sssk...

Potapow z zimną krwią pechnął chłopaka do przodu, aż wyrzwał głową w ścianę i zaczął wyjękiwać rozbitymi wargami:

- Jesteśmy z firmy ochroniarskiej "Argus". Nie masz pojęcia, na kogo trafiliś, balwanie. Daria jest dziewczyną szefa, wsadzi cię żywego do betonu...

Potapow zagwizdał w duchu, puścił rękę chłopaka, poobrał w rękę jego nóż, przypatrując się, jak "grzywka" stopniowo odzyskuje kontenans i zaczyna rzucać na wroga wściekle spojrzenia.

- "Argus", powiadasz? Jakoś nie słyszałem nic o takiej agencji. Zresztą, nieważne. Przekaż szefowi pozdrowienia i powiedz mu, że dziewczyna sama powinna decydować, z kim chce być i gdzie będzie spacerować. Jeśli nie odcepi się od niej i będzie chciał kontrolować każdy jej krok, to znajdę go i uspokoję.

- Na kogo ty się porywasz, palancie!?! - rozjuszył się nagle "grzywka", filmowo wyszarpując spod płaszcza pistolet. - Leżcie! Na podłogę!

Potapow "wszedł na obroty", wytrenowanym ruchem wykręcił pistolet z ręki bęcwała i kontynuując ruch obrotowy wpakował mu lokiec w spłot słoneczny. Zerknął na zwiniętego w kłębek pod baterią skrzynek pocztowych drugiego cymbala, włożył pistolet do kieszeni i wyszedł.

Na ulicy było ciemno, kropił deszczyk, odległa o dwadzieścia metrów latarnia w aureoli mglistych kropel nie była w stanie zwalczyć mroku w głębi podwórka, ale Potapow od razu wyczuł człowieka za barakowozem brygady ciepłowniczej. Nie zatrzymywał się, chcąc uniknąć jeszcze jednego konfliktu z kolejnym przedstawicielem agencji ochroniarskiej "Argus", ale człowiek ten sam go dogonił i okazało się, że jest jednym z operacyjnych podwładnych Lipiagina.

- Zglupiałem, kiedy pana zobaczyłem, towarzyszu majorze - szeptal, chowając lornetkę pod kurtkę. - My tu sobie "pasiemy" ochroniarzy "Argusa", w tym domu mieszka...

- Dziewczyna ich szefa.

- Nie, dyrektor teje właśnie Rolniczo-Przemysłowej Kompanii "Wostok", którą panu pokazywał porucznik. Odejdźmy trochę, żeby nas nie nakryli. Przed panem do bramy weszła trójka byków z "Argusa", nie spotkał ich pan?

- Nie - mruknął Potapow. - Jak się nazywa ten dyrektor, nie pamiętasz?

- Kalasznikow.

Potapow kolejny raz zagwizdał w duchu. Daria nosiła to samo nazwisko.

- Dobra, wracaj do roboty. Nie jesteś tu sam?

- Nie, z Paszą Nożkinem. A kogo pan odprowadzał, majorze? Ładna dziewczucha.

Nie odpowiedziawszy, Potapow skoczył za krzewy glogu, rosnącego pod plotem, obszedł dokoła samochody zaparkowane naprzeciwko piętnastopiętrowego budynku i znalazł się przed swoim blokiem. Spotkał tylko spacerującego z psem staruszka. Ale tak był zajęty roztrząsaniem dopiero co

otrzymanych zaskakujących danych, iż nawet nie pomyślał, że to znaczące spotkanie - jak na spacer z pieskiem było dość późno. Minęła druga w nocy.

Rano Potapow zwołał naradę swojej grupy, żeby podzielić się domysłami na temat współdziałania agencji ochroniarskiej "Argus" i Rolniczo-Przemysłowej kompanii "Wostok". Rozdzielając zadania na ten dzień, dla siebie Potapow zostawił pana Kalasznikowa i w pierwszym rzędzie zażądał na swój display danych o dyrektorze kompanii "Wostok". Jednakże informacje w służbowej bazie danych osobowych o N.N. Kalasznikowie zawierały się w dwu liniach: "Ścisłe tajne. Dostęp do danych zabroniony". Pan dyrektor nieistniejącej kompanii był utajniony, a to z kolei znaczyło, że nie jest tym, za kogo się podaje. Oznaczenie "ściśle tajne" w takich firmach jak Federalna Służba Bezpieczeństwa, otrzymywały tylko dane o współpracownikach. Albo uczonych, w ten czy inny sposób związanych ze szczególnie ważnymi badaniami. Kalasznikow N.N. widocznie był jednym z takich uczonych. Teraz należało określić krąg jego zainteresowań, żeby albo odrzucić wersję o udziale kompanii "Wostok" w zamachach bombowych z wykorzystaniem "żywych min", albo przyjąć ją za wersję bazową.

Szczerbatowa nie było w gabinecie, nie było kogo się poradzić, więc Potapow pracował według planu zatwierdzonego przez pułkownika wezora. Michail zresztą również nie znosił cyników, wrzeszczących z trybun o "prawach człowieka", o "ratowaniu narodu za wszelką cenę", i jednocześnie z zimną krwią podpisujących zarządzenia o finansowaniu "perspektywicznych opracowań naukowych", w których proponuje się testowanie na ludziach najnowszych typów uzbrojenia.

Przed wieczorem haker z sekcji komputerowych technologii, kolega Potapowa, Tuszkan, o ksywie Wowczik Tuszkaniczik, włamał się do tajnych plików Ministerstwa Obrony i przed Michaiłem legło dossier docenta nauk fizyko-matematycznych, Nikolaja Naumowicza Kalasznikowa, ojca Darii. Najbardziej interesujące było to, że w dokumencie tym została wymieniona ostatnia jego praca z 1986 roku, napisana w Moskiewskim Instytucie Energetyki, a zatytułowana: "Problemy zimnego rozpadu termojądrowego". Tematy innych prac, napisanych w laboratoriach Akademii Timiriaziewa, w dokumencie wymienione nie zostały.

- Wszystko to betka - powiedział porucznik Lipiagin, którego Potapow wtajemniczył w znalezisko. - Mam na myśli Akademię Rolniczą. To jest obiekt ochroniarzy. A pan Kalasznikow pracuje właśnie w interesującym nas temacie, klei "żywe miny". Jak by tu wyjść na niego, co? myślałeś już o tym? Masz jakieś pomysły?

Pomysły Potapow miał, ale nie dzielił się nimi z porucznikiem. Musiałby opowiedzieć o córce

Kalasznikowa, Darii, a tego wcale jego dusza nie laknęła. Dusza chciała spotkania z tą mądrą i piękną dziewczyną, która w jakiś sposób wpadła w zależność od szefa ochroniarzy tatuńcia, prezesa prywatnej agencji ochroniarzkiej "Argus". Potapow miał nadzieję, że Daria wieczorem zadzwoni, umówią się na spotkanie, a wtedy on spróbuje dowiedzieć się, czym się zajmuje jej ojciec tak naprawdę. Ale na tym kończyły się jego zasoby fantazji, w szczęśliwe zakończenie swojego "służbowego romansu" nie wierzył. Niczym drzazga tkwił w pamięci obraz zamykających się drzwi windy, i coraz częściej dominowało poczucie zlekceważenia czegoś, co związane było z Daria.

Wieczorem, kiedy podczas seansu medytacji zrzucił z siebie lupiny emocji i przeżył, Michail uchwycił wreszcie przyczynę pojawiania się "falszywego wspomnienia". Była prosta i nieskomplikowana, jak dziura w kieszeni: Daria mimo wszystko nie powiedziała mu o przyczynach swojego konfliktu z ochroniarzami w restauracji, choć Potapow pytał ją o to dwukrotnie. Zapewne nie chciała spotykać się z bossem "Argusa", a ochroniarze usiłowali ją do tego skłonić. Tak, w każdym razie, wyobrażał sobie tę sytuację Potapow. Ale dziewczyna sama niczego mu nie opowiedziała, po prostu udala, że nie usłyszała pytania.

Telefon odezwał się po dwudziestej pierwszej. W słuchawce rozległ się kokietujący głos Darii:

- Witam pracownika pióra i sickiery. Żartuję. Jesteś zajęty, Michaile Piotrowiczu?

- Wcale - odpowiedział Potapow szczerze, z jednej strony ucieszony z telefonu, z drugiej - czując się winnym.

- No to zapraszam w gości. Dzisiaj jestem sama, wapno pojechało na daczę.

Michail już miał zapytać, co z ochroniarzami, gdzie ich boss? Ale ugryzł się w język.

- Już pędzę, podaj adres.

Daria podyktowała numer mieszkania, Potapow zaczął się pospiesznie przebierać, tłumiąc niecierpliwość, dziwny niepokój i drzenie w kolanach. Bardzo nie chciał dać plamy, wyjść na naiwnego chloptasia, bardzo nie chciał pomylić się co do swoich uczuć, ale też jeszcze bardziej nie chciał wykorzystywać uczuć dziewczyny tylko do otrzymania informacji o jej ojcu.

Ubrał się na bialo: spodnie, koszula, buty, wziął bombonierkę, kupioną przypadkowo wczoraj, jakby w przeczuciu potrzeby takiego zakupu, i ruszył w kierunku bramy numer czternaście, odruchowo odnotowując wzrokiem każdy ruch dookoła siebie. System nerwowy, specjalnie trenowany do specyficznego typu obciążeń mistrza przechwyty, dawno już nauczył się wsłuchiwać w podpowiedzi podświadomości, stał się samodzielnym wartowniczym systemem organizmu, co nieraz już uratowało Michailowi życie w chwilach przechwytywania terrorystów; system ten zadziałał i tego wieczora, choć Potapow nie od razu zrozumiał o co chodzi - myśli miał

zajęte randką. Dopiero po przejściu dwudziestu kroków ocknął się.

Staruszka z małym pieskiem, tego którego spotkał pod bramą, już kiedyś widział!! to nie raz.

Wyteżył pamięć, skoncentrował się, ale przypomniał sobie tylko ich nocne spotkanie: ten staruch już tu spacerował kiedyś ze swoim czworonogiem - o drugiej w nocy. Teraz znowu - dziś. Ale jeszcze gdzieś wcześniej ich drogi się przecięły, Michail był tego pewien, choć nie pamiętał, gdzie.

Przeklinając w duchu, odłożył poszukiwanie miejsca ich poznania na inną okazję, obszedł dookoła dom Darii, przekonał się, że nikt go nie śledzi, i wystukał kod na klawiaturze domofonu. Wjechał na siódme piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Kalasznikowów, opanował zdenerwowanie, żeby wyglądać na pewnego siebie i spokojnego, i, gdy już naciskał guzik dzwonka, przypomniał sobie w końcu, gdzie widział tego staruszka: w restauracji Marinicza! Ten staruch siedział przy jego stoliku w fioletowej marynarce, zielonej koszuli i bordowym krawacie, i przyglądał się Darii! A takie przypadkowe, powtarzające się spotkania w przyrodzie nie istnieją.

Potapow już chciał się cofnąć, ale drzwi otworzyły się i nie pozostało mu nic innego, jak wejść. I natychmiast odezwał się system alarmowy organizmu, który wychwycił powiew niebezpieczeństwa.

Daria stała w głębi mieszkania w szlafroku, przygryzała dolną wargę i patrzyła na gościa spode łba, z wyraźnym strachem w oczach. Nie mogła otworzyć drzwi sama, uczynił to ktoś inny. Nie było już czasu na cofanie się, Michail rzucił się do przodu, wykonał przewrót przez głowę, w locie oglądając się za siebie i widząc dwie męskie postacie: za drzwiami przedpokoju i za plecami Darii, poderwał się... Ale w tym momencie wszystko rozjechało mu się przed oczami... Otrzymał straszliwy i niezwykle, miękki, ale mimo to mocny cios w głowę, właściwie - w całe ciało, a uderzenie to nie przyszło z zewnątrz, ale - dziwnie - od wewnątrz. Tracąc zmysły, Potapow usłyszał krzyk Darii:

- Misza, oni mnie zmusili! Nie chciałam! Nie bijcie go!.. I stracił przytomność ostatecznie.

Mgła była gęsta i biała jak śmietana, tak gęsta i biała, że chyba jak śmietanę można by ją było jeść łyżką. Potapow usiłował oblizać wargi, nie czując ich wcale, strasznie chciało mu się pić, chciał zawołać kogoś na pomoc, żeby mu przynieśli szklanekę śmietany, ale odkrył, że nie tylko nie może ruszyć ręką ani nogą, ale nawet otworzyć ust.

Jeszcze raz spróbował się poruszyć - wynik bez zmian. Na szczęście zaczęła znikać mgła sprzed oczu, oczyścił się w niej różowawy świecący owal, zbliżył się i stał się rozmytą ludzką twarzą z czarnymi oczami, w których migotały złe ognie woli i mocy.

- Kim... pan jest? - wymamrotał Potapow, sam nie słysząc swego głosu.

- Patrzcie go, ocknął się nasz major - dotarł do niego jak przez watę cichy głos. - Silny facet nam się trafił,

tylko na trzy godziny się wyłączył. Inni na jego miejscu spaliby co najmniej dobę.

- Zastrzyk!

Potapow poczuł ból gdzieś w okolicy serca i od razu wszystko się zmieniło - mgła się rozwiała, pojawiły się zarysy pomieszczenia - sterylnie białe kafle ścian, biały sufit z systemem metalowych koncentrycznych kół i beżeniowa lampa. Michail zaczął słyszeć wszystkie glosy i dźwięki, zobaczył stojaki do aparatury, ekrany, nieznanne urządzenia i dwóch mężczyzn w fartuchach przy wysokim stole operacyjnym, na którym on sam leżał, przypięty za ręce i nogi specjalnymi mankietami.

Jeden z mężczyzn pochylał się nad nim. Miał smagłą twarz, w czarnych włosach wyraźnie widoczne pasma siwizny. Miał odrobinę skośne oczy i przypominał Darię. Potapow zrozumiał, że to musi być ojciec dziewczyny, utajniony uczony, pracujący dla jednego z laboratoriów strategicznego systemu badań specjalnych.

- Dzień dobry, Michaił Piotrowiczu. Jak się pan czuje?

- Dzień dobry, Nikołaju Naumowiczu - uśmiechnął się Potapow zdrętwiałymi wargami.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Młodszy, ale wyglądający jakoś tak dziwnie galaretowato i chorobliwie, pokiwał głową.

- Wygląda, że on wie więcej niż sądziliśmy, szefie.

- Miał pan strasznego pecha, Michaił Piotrowiczu - powiedział Kalasznikow - że to właśnie panu przydzielono śledztwo w sprawie tak zwanych zamachów. Na dodatek okazał się pan być człowiekiem nadmiernie mądrym i domyślnym. Przecież domyślił się pan już, że stworzeniem "fotonowych" ludzi zajmowało się moje laboratorium?

- "Wostok" - wymamrotal Potapow, zaczynając odzyskiwać bitewnego ducha. Mężczyźni znowu wymienili spojrzenia.

- No i widzi pan? Stał się pan niebezpieczny, Michaił Piotrowiczu. Daria właściwie pana określiła.

- Ona... jest z wami?..

- W jakim sensie? Jest moją córką, ale nie ma nic wspólnego z moją pracą. Chociaż co nieco wie. Niestety, ostatnimi czasy zupełnie przestała mnie słuchać, jest uparta, chce być samodzielna, zawiera podejrzaną znajomości, i, tak jak i pan, staje się nieprzewidywalnie niebezpiecznym świadkiem. Najprawdopodobniej, niestety, przyjdzie mi ją utemperować, czyli zakodować.

- Jak tych dwóch, którzy odegrali rolę "żywych min"?

- Macie rację, Kirsanie Wolfowiczu - popatrzył na opuchniętego kolegę Kalasznikow. - Jest znacznie niebezpieczniejszy, niż sądziłem. Proszę rozpocząć procedurę programowania, do rana powinien być gotowy... - tu roześmiał się krótkim śmieszkiem - ...do aktu samozniszczenia. - Ojciec Darii odwrócił się do Potapowa, rozłożył ręce. - Proszę mi wybaczyć, majorze, że nie mogę poświęcić panu więcej czasu. Szkoda, że już się nie zobaczymy. Rano pan, jak zawsze, pójdzie do pracy, spotka się z pułkownikiem

Szczerbatowem i uściśnie mu rękę. Z wszystkimi wypływającymi z tego faktu konsekwencjami. W tym momencie dochodzenie, wszczęte przez nieujarzmionego pułkownika, zostanie zamknięte, a program badań "fotonowych" ludzi zostanie zakończony.

Kalasznikow pochylił się w ukłonie swą szlachetną głowę i wyszedł z przypominającego gabinet chirurgiczny pomieszczenia. Potapow napiął mięśnie, usiłując rozerwać mankiety, przed oczami przepłynęły mu czerwone kręgi, ale rzemienie nie puściły.

- Niech się pan nie szarpie, majorze - parsknął obserwujący go rozmówca Kalasznikowa, nazwany przez niego Kirsanem Wolfowiczem. - Te rzemyki obliczone są na prawdziwych szaleńców, słonia powstrzymają, a pan tylko sobie rączki i nóżki poobciera. Zaraz zaaplikuję panu igielkę i pan odpłynie, popłynie, lekko i radośnie, a ocknie się pan dopiero we własnym łóżeczku w domciu. Chlumow!

Do sali wszedł potężny młody chłopak w fartuchu, o nieruchomej, sennej twarzy.

- Zaczynamy.

Potapow jeszcze raz spróbował zerwać pęta, ale nie dał rady i zrozumiał, że należy rozpocząć wewnętrzną walkę, bitwę z chemią i zewnętrznym hipnotycznym oddziaływaniem, za pomocą którego ci bandyci zamierzali go zaprogramować! Zamknął oczy, skoncentrował się i, jakby skacząc z brzegu do rwącej wody, wszedł w trans, w stan "pancernej koszuli", którego nauczył do ojciec.

Uklucia w ramię już nie poczuł.

Zegar wydzwonił siódmą.

Potapow obudził się, czując się kompletnie zmaltretowany, powłókł się pod prysznic, usiłując przypomnieć sobie coś ważnego, co wydarzyło się wczorajszego wieczora. Ale nie przypominał sobie, nawet po kilku minutach lodowatego prysznica. Zastanawiając się nad przyczyną swego fatalnego samopoczucia, zaczął się golić i nagle zobaczył na lewym ramieniu trzy małe czerwone punkciki. Bagnisko pamięci zakolysało się nad wypływającym bąblem wspomnienia, ale natychmiast się uspokoiło. Potapow dokończył golenia, rozmyślając nad tym, gdzie mógł się dorobić tych wyraźnych śladów zastrzyków, i przypominał sobie, że chyba poddawał się w Zarządzie badaniom medycznym, przy okazji których dostał jakąś nową kompleksową szczepionkę. Uspokoił się trochę, poszedł pić herbatę, odpychając na bok głupią ale okropnie natrętą, niczym giez, myśl:

muszę spotkać pułkownika... uściśnąć mu dłoń...
muszę spotkać pułkownika... muszę spotkać...

- Cholera! - rzucił niezadowolony. - Odczep się, zarazo. Sam wiem, że muszę spotkać się ze Szczerbatowem... - urwał w pół słowa, nagle uświadomiwszy sobie, że nigdy dotąd nic podobnego mu się nie zdarzyło.

Podświadomość dyktowała mu, co ma robić! Potapow stanął przed lustrem, obejrzał siebie ze wszystkich stron, zauważył prócz śladów iniekcji bladoniebieskie obręcze na nadgarstkach rąk i na łydkach, wyteżył pamięć i niemal stracił przytomność w ataku słabości. Pamięć sprzeciwiała się. Pamięć była zablokowana!

- A żeby to jasny gwint! - powiedział na głos. Włożył głowę pod kran. - Co się ze mną dzieje?

Uspokoiwszy nieco rozchwiejane nerwy, wyjął buteleczkę z nalewką z esparcety polnej, nalal na łyżkę, wlał do szklanki wody i wypił. Odczekał chwilę, aż przejaśniło się w głowie, a mięśnie wypełniły się mocą, usiadł na tapczanie w pozycji lotosu i zaczął powoli nastrajać organizm na mentalny "przesiew". Nie był pewien, czy to mu pomoże wyjaśnić sytuację, ale pewniejszego sposobu na usunięcie hipnoblokady nie znał. Również i tego nauczył go ojciec, kiedy Michail zaczął się interesować ezoteryką i sztukami walki.

Miał wrażenie, że spada w przepaść i rozplywa się - w powietrzu, w murach pokoju, w budynkach dokoła, w ziemi i drzewach, w kosmosie... Przed oczami pojawił się mrok, poczucie własnego ciała zniknęło, wszystkie odczucia rozplynęły się... Czarna Nicość obstała go ze wszystkich stron, jakby był martwy... I trwał ten stan niewiarygodnie długo, całą wieczność, mimo że czas nie płynął we wnętrzu, a tylko na zewnątrz i obok, opływając sferę myśli, nie dotykając ani uczuć, ani myśli... W końcu dotarł do dna otchłani, naszpikowanego ostrymi kolcami i ostrzami, rozpalonymi do purpury, zobaczył świecący się w kamiennym łóżu właz, chroniony przez olbrzymiego smoka z miotającym ogień pyskiem, i zrozumiał, że musi zanurkować w ten właz: tam czeka go wolność...

Potapow zaczął się powiększać, zwiększać swoją masę, wyhodował sobie ogromne mięśnie, a potem schwycił smoka za szyję, i gdy ten zaczął się miotać, wijąc i wystrzeliwując smugi ognia, "oddzielił" od ciała-nosiciela aparat zwiadowczy drugiego "ja" i zanurzył się w sztolni zablokowanej pamięci, wpadając w jasny słoneczny dzień własnej wolności.

Stał w ogromnej bibliotece wypełnionej ogromną ilością stelaży pod gołym niebem. Na stelażach leżały tysiące świecących ksiąg - to była biblioteka jego pamięci, a on, Potapow, mógł wyciągnąć dowolną "księgę" i przeczytać ją od deski do deski. Z łatwością mknąc nad lśniąca podłoga, Potapow ruszył wzdłuż "stelaży" z "książkami", wybrał potrzebny mu tom i otworzył na pierwszej stronie. Po kilku chwilach przypomniał sobie wszystko...

Wypływanie z otchłani pamięci odbywało się niespokojnie, jakby wypływał z dna morza przez lawicę piranii, usiłujących ugryźć albo ukłuć koleczastą pletwą. Najciekawsze było to, że Potapow miał świadomość odbywającego się procesu: organizm znajdował się w stanie mentalnej iluminacji i bronił się przed zakodowanym w głębinach psychiki obcym programem, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Mimo wszystko ci, którzy kodowali Potapowa, wykorzystali

zbyt potężną aparaturę kruszącą wolę i wbudowali, oprócz ukierunkowanego nakazu, dodatkowe obronne systemy podprogramów samolikwidacji, które zaczynały działać podczas próby oddziaływania z zewnątrz na mózg zaminowanego człowieka. Potapowa nikt nie przepytował, w zasadzie to on sam siebie przesłuchał, ale to nie ułatwiało specjalnie sprawy. Program samolikwidacji znalazł się na krawędzi uruchomienia i utrzymać go chociażby w tym stanie było straszliwie trudno. Ale Michail wiedział teraz już wszystko.

Nikołaj Naumowicz Kalasznikow rzeczywiście pracował nad stworzeniem "fotonowych" obiektów, w tej liczbie i żywych - kotów, psów, ludzi, ptaków, to znaczy obiektów z niestabilnym polem energetycznym, przechodzących do stanu promieniowania przy najmniejszym bodźcu. Takim bodźcem mógł być wprowadzony rozkaz przestawienia siebie na "eksplozję", co ukazały wybuchy w restauracji "Terpsychora" i pod kawiarnią "Cicha woda".

Rolniczo-Przemysłowa kompania "Wostok" naprawdę była utajnionym laboratorium, zajmującym się rozpracowywaniem "fotonowych" min i bomb, w którym Kalasznikow pracował już cztery lata, osiągając w swej dziedzinie znaczące sukcesy.

Daria Kalasznikowa rzeczywiście nie była winna porwaniu Potapowa przez ochroniarzy ojca, szczególnie, że sama też już była zaprogramowana na samolikwidację, a rozkaz realizacji mógł nadejść w każdej chwili. Najprawdopodobniej zostało jej kilka dni życia. A może kilka godzin. W zależności od zachowania. Ale i tak nie dawała się zmusić do życia z precesem kompanii "Argus". W Potapowie widziała swą mikroskopijną nadzieję na uwolnienie od uprzykrzonej opieki, a to, że zainteresowała się Potapowem służba bezpieczeństwa laboratorium, nie było jej winą.

Na koniec dowiedział się Potapow, że stał się "żywą miną" i że ma zabić Szerbatowa - spotkać się z nim w Zarządzie, podać mu i rękę i w tym momencie eksplodować, zabijając pułkownika, a przy okazji niszczyć wszystkie materiały dotyczące sprawy.

Major długo siedział na tapczanie, ogłuszony nieszczęściem, jakie go spotkało, walcząc z chęcią włożenia do ust lufy pistoletu. Powłókl się do kuchni, machinalnie zagotował wodę, wypił filiżankę herbaty, nie czując ani jej smaku, ani temperatury, potem starannie umył naczynia, ubrał się i podjął decyzję. Czas działał na jego niekorzyść - o dziesiątej miał zadziałać rozkaz do "eksplozji", więc do tej chwili musiał zrobić wszystko, co sobie zaplanował.

Był, oczywiście, śledzony.

Wykrył obserwatorów od razu po wyjściu z bramy; przemaszerował przez podwórze krokiem człowieka pogrążonego w myślach, skierował się do swojego samochodu, otworzył maskę i chwilę udawał, że jest zajęty jakąś naprawą.

Po pierwsze, odnotował staruszka, jak poprzednio udającego, że spaceruje z psem. Po drugie, w szarej

ładzie pod sąsiednią bramą siedzieli dwaj mocno zbudowani chłopcy i udawali, że słuchają muzyki. Potapow zamknął maskę, podszedł do nich, wycierając dłonie gałgankiem. Pochylił się przy olmie, a kiedy kierowca opuścił boczną szybę w odruchu elementarnej uprzejmości, z uśmiechem wetknął mu palec w tętnicę szyjną. Sąsiada uspokoił inaczej, uderzając go w grdykę kostkami palców.

Potem Potapow dogonił za rogami staruszka-kapusia i bezlitośnie przyłożył mu kantem dłoni w kark. Następnie spokojnie poszedł do domu Darii, wszedł do środka i doczekał się pojawienia ochrony Kałasznikowa: dwa byczki wpadły do bramy, zdumione nieoczekiwanym pojawieniem się "obiekta" i wpadły na Michaiła, działającego tym razem twardo i bez wahania, bez pozwalania sobie na litość w stosunku do biednych chłopaków na posyłki.

Drzwi do mieszkania Darii otworzył jasnowłosa znajomy Potapowa, z którym Daria sprzeczała się w restauracji. Zdażył tylko otworzyć szeroko oczy i usta, by zadać pytanie, po czym poleciał do tyłu od uderzenia w czoło. Drugiego ochroniarza nie udało się załatwić bezkrwawo, mężczyzna wyszarpnął pistolet i gotów był strzelać, dlatego Potapow wystrzelił pierwszy.

Daria spała, sądząc po tym, że wyskoczyła do salonu w samej nocnej koszuli. Poza tym mieszkanie było puste; jeśli K.a-lasznikow zamierzał wypoczywać, jak powiedział, to nie w domu. Daria przeniosła zaskoczone spojrzenie z ochroniarza na Potapowa, oczy jej się rozszerzyły, już miała zacząć krzyczeć, więc Michaił zaslonił jej usta dłonią.

- Cicho! To ja. Pakuj się.

- Pppo co? Dokąd?

- Pakuj się, jeśli chcesz mi pomóc.

- Ale co się dzieje? Dlaczego jesteś tutaj?! Przecież powinieneś...

- Wypuścili mnie. Zapakowali we mnie program i wypuścili. Szybko, mamy mało czasu.

Daria spoglądała na jego twarz i podporządkowała się. Po kilku minutach pojawiła się ubrana w biały płaszcz, z torbką, zezując na nie dających oznak życia ochroniarzy włożyła pantofle i razem wyszli z mieszkania, cicho zamknawszy za sobą drzwi.

W wozie Potapow opowiedział Darii wszystko, co wiedział, a w tym czasie Ford przebył ulicę Alabiana, przez Leningradzką Szosę i ulicę Wolkowa, po Wielką Akademicką podążał w kierunku Akademii Rolniczej Timiriaziewa. Daria wysłuchiwała jego opowieści w milczeniu, i parząc na jej skamieniałą twarz Potapow pożałował, że wciągnął ją w tę historię. Ale nie było już możliwości wycofania się, do "godziny zero" zostawało coraz mniej czasu, a on musiał jeszcze przeniknąć do laboratorium "Wostok" i...

- Chcesz... wysadzić sobą w powietrze laboratorium?! - zapytała w końcu dziewczyna, odwracając ku niemu pobladłą twarz z ponownie przygryzioną wargą.

- Tak - powiedział niemal spokojnie. - Musisz mi pomóc przedostać się tam, jesteś im znana.

- A jeśli tam jest teraz... ojciec.

- Powiedział, że idzie odpocząć. Żal ci go? Bo on ciebie nie pożałował, skazał cię "na światło", jak i mnie.

-Niewierze...

Potapow uśmiechnął się z goryczą.

- To już niczego nie zmieni. Ale powiedział, że jesteś bardzo krnąbrna i niebezpieczna jako świadek.

- A jeśli nie będę ci pomagala?

- Poradzę sobie jakoś bez ciebie.

- Nie poradzisz. Nie zbliżysz się do laboratorium nawet na kilometr. A gdybyśmy tak weszli i zmusili Kirsana do rozładowania ciebie?

- A czy to w ogóle jest możliwe?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem.

- Ale chcę tego! - krzyknęła nagle, a z jej oczu popłynęły łzy. - Nie chcę, żebyś eksplodował! Nie chcę, żeby wszystko tak się skończyło! Czy nie ma innego sposobu na powstrzymanie ich?

- Nie wiem - odpowiedział po chwili Potapow. - Dzwoniłem do swojego przełożonego, jeśli odważy się rzucić grupę antyterrorystyczną do szturm na laboratorium, to jeszcze jest szansa, że wszystko się zmieni. Ale jeśli nie... to ja muszę przeniknąć do laboratorium, rozumiesz?'

Daria zacisnęła powieki, przytuliła głowę do jego ramienia, a Potapow pocałował ją w mokry od łez policzek, z rozpaczą myśląc, że nie chce umierać. Szansę na to, że przeżyje, są, ale bardzo i to bardzo małe. Jedna na milion...

Ale gdyby przeżył... Panie, bądź wola Twoja!

Jeśli przeżyje, to będzie żyła również ta dziewczyna, zmuszana do cierpienia za grzechy ojca. I nigdy więcej nie będzie płakała!

Ford okrążył Sadowy Staw, skręcił na ulicę Timiriaziewa, potem na Pasieczną i zatrzymał się przed bramą, za którą widniał dwupiętrowy budynek Rolniczo-Przemysłowej Kompanii "Wostok". Potapow pocałował Darię i wysiadł...

Tłumaczenie: Ewa i Eugeniusz Dębscy